



XIĄŻNICA ZAMOJSKA  
POD REDAKCJĄ STEFANA POMARAŃSKIEGO

Tom 13

Stefan Pomarański

**WSPOMNIENIA**  
Stanisława Dekkańskiego  
o powstaniu styczniowym  
w Zamojszczyźnie

ZAMOŚĆ

Stefan Pomarański

**WSPOMNIENIA**  
Stanisława Dekańskiego  
o powstaniu styczniowym  
w Zamojszczyźnie



ZAMOŚĆ  
ZYGMUNT POMARAŃSKI I SPÓŁKA

Księgozbiór BP



10080901

Zamość ul. Pereca 14  
Biblioteka Publiczna



84954

R/9

94(438).09

Dzieje powstania styczniowego, choć są najbliższą dla naszego pokolenia przeszłością, stanowią niezbadany dotąd las dziewiczy. Złożyły się na to fatalne warunki walki, pozbawionej bazy operacyjnej i wspólnej wytycznej w działaniu. Zorganizowaną i planową akcją w tej wojnie można nazwać jedynie sam moment wybuchu: noc z 22 na 23 stycznia. Wszystko, co nastąpiło potem, było już tylko konsekwencją tego kroku, polegającą na inicjatywie i przedsiębiorczości poszczególnych kierowników, często przygodnych. Brak od początku owej podstawy, brak centralnej i silnej władzy wojskowej zaciążył na losach walki wraz ze świtem po tej pamiętnej nocy. Akcja przeważnie poszła samopas, a raz puszczona na wolne wodze, nie dała się już ująć w jedną dłoń, jedną wolę i jeden plan. Nie pomogły późniejsze wysiłki dowódców i naczelników powstania, działających bez swobodnego ośrodka działania: cała akcja rozsypała się na fragmenty, choć wielkie bohaterstwem, ofiarnością i tragizmem, lecz znikome w rezultatach, jak bywa w nierównej walce samotrzeć. I jak ginęli aktorowie tego dziejowego dramatu, tak ginęła wieść o nich, zamknięta w mogiłach bezimiennych. Przez długie lata popowstaniowej rezygnacji tłuła się tylko po sercach z lękiem zwierzana tradycja rodzinna i snuła się długa opowieść tych, co pozostali z zawieruchy.

Te dwa czynniki: tradycja i opowieść, są właściwie dotąd jedynym wyrazem i świadectwem ostatniej walki powstańczej. Z czasem spisano je w liczne już dziś wspomnienia i pamiętniki. Dopiero zmienione warunki polityczne umożliwiają wydobycie z archiwów rodzinnych i zbiorów prywatnych, skrzętnie przechowywane przed prześladowaniem zaborców, strzępy dokumentów

urzędowych ówczesnych władz powstańczych, dotąd tylko fragmentarycznie znanych i publikowanych. Państwo polskie przejęło również liczne archiwa rządowe rosyjskie, w których znajdują się bezcenne wprost materiały do dziejów tych krwawych lat.

Powoli z chaosu i niepamięci wylania się rzeczywistość, przybiera konkretne kształty, oraz skupia się z poszczególnych fragmentów w wielką i potężną całość. Zanim te ogniwa przez badaczy zostaną ujęte w jeden i wierny obraz dziejowy, nim wyłonią się z niego bohaterskie postacie „ludzi leśnych“ z przed półwiecza, uplynie dużo wyteżonej pracy. W tym względzie wielki dług zaciągnęła nauka polska, która niewątpliwie spłaci go w najbliższej przyszłości.

O ile powstanie województw południowo-zachodnich znalazły już stosunkowo dość liczne i gruntowne opracowania (Tokarz, Stanisław Długosz, Jan Długosz i in.), o tyle województwo lubelskie i wogóle obszar Królestwa prawego brzegu Wisły jest prawie nietknięty. Zjawisko to zrozumiałe, bowiem punkt ciężkości powstania odrazu przeniósł się do województw lewobrzeżnych, a zwłaszcza Krakowskiego i Sandomierskiego. Złożyły się na to przede wszystkim właściwości terenu, sprzyjające najbardziej walce partyzanckiej, większa kultura mieszkańców, bliskość granicy galicyjskiej, oraz przebiegający przez te prowincje trakt główny między Warszawą — siedzibą Rządu Narodowego, a Krakowem — miejscem wytechnienia, arsenałem i ostoją moralną powstania, wreszcie słabsze niż gdzieindziej załogi i garnizony rosyjskie. Wszystko to sprawiło, że województwa południowo-zachodnie stały się niejako kluczem strategicznym, terenem decydującym dla walki, — walki o bazę operacyjną dla całego powstania. Prócz tego materiały, a zwłaszcza dokumenty urzędowe powstańcze, znalazły bezpieczne i troskliwe schronienie w bibliotekach i archiwach krakowskich, oraz w zacisznym Muzeum Narodowym w Raperswilu, co już uprzyścipliło je znacznie dla badań.

Do dziejów powstania w lubelskiem, a stąd i w zamojszczyźnie podówczas obejmującej znacznie większy teren, gdyż cały połud

niowo-wschodni kąt gubernji, odnalazł poważne materiały w dawnem archiwum gubernjalnem i uchronił od zniszczenia Dr Józef Seruga, były konserwator zabytków archiwalnych i bibliotecznych przy b. General Gubernatorstwie w Lublinie. Są to raporty i sprawozdania władz administracyjnych, a więc materiał jednostronny, ujmujący cały okres z punktu widzenia władzy rządowej i specjalnie oświetlający fakty. Materiały te Dr Seruga opracowuje i przygotowuje do wydania. Pozwolą one wtedy zdać sobie sprawę z przebiegu powstania w dawnej gubernji lubelskiej, choć nie wszechstronnie, bowiem zawierają tylko to, co władze o powstaniu wiedziały. Dzięki tym odkryciom czytelnicy „Teki Zamojskiej“ zapoznają się choć częściowo z dziejami powstania w naszej okolicy, narazie w formie poszczególnych przyczynków, a może z czasem i monografią, obejmującej całokształt tak żywotnego dla nas zagadnienia.

Niewiadomo natomiast, czy odnajdą się dokumenty drugiej strony, walczącej w tym kącie Królestwa, hipotezą wogóle jest, czy istniały kiedykolwiek, czy zajmowano się nimi w odmęcie nierównej i rozpaczliwej walki. Pomocniczy jednak materiał, jak wspomnienia i pamiętniki uczestników z biegiem czasu ujrzą światło dzienne i choć częściowo wyrównają dotkliwy brak.

Jeden taki pamiętnik, dotyczący wyłącznie terenu nas obchodzącego i przez mieszkańca naszych stron napisany, znajdował się w mem posiadaniu. Są to wspomnienia Stanisława Leona Dekańskiego, byłego urzędnika ordynackiego w Zwierzyńcu. Autor, „chyląc się ku starości, osłabiony fizycznie, zbliżając się do grobu“, przystąpił do skreślenia swych przeżyć. Spisywał je już od kilkunastu lat i ukończył w początku 1914 r.; lecz podczas inwazji rosyjskiej w Galicji, po upadku Przemyśla, gdzie od dłuższego czasu mieszkał, jako urzędnik kolejowy, bojąc się, jako poddany rosyjski, represji i może tulaczej starości na wygnaniu, — w kwietniu 1915 roku cały zeszyt, obejmujący około 20 arkuszy ścisłego pisma, wraz z oryginalną metryką spalił. Nawała moskiewska jednak, odbiwszy się o Karpaty i mury Krakowa, odplynęła z

powrotem, a sędziwy weteran, pragnąc, „aby pamięć o synach wiernych Ojczyźnie, których osobiście znał, a którzy w boju z odwiecznym wrogiem polegli śmiercią bohaterską, nie poszła w zapomnienie, oraz na pamiątkę dla swoich dzieci“, podjął nanowo swą pracę, której rezultatem są „Moje wspomnienia“.

Bezpretensjonalny ten pamiętnik obejmuje całe życie autora, aż do chwili obecnej. Ma on być, jak czcigodny Autor w korespondencji ze mną wspomniał, wydany przez pewną instytucję w Krakowie. Nim jednak cenna ta praca ukaże się z druku, spieszymy podzielić się z czytelnikami tym materiałem ze „wspomnień“, który dotyczy bezpośrednio powstania w zamojszczyźnie. Czynimy to w tem przekonaniu, że zadośćuczyni on naglącej potrzebie i przyczyni się do wyświeatlenia wielu ciekawych kwestyj, a może zachęci niejednego z pośród żyjących uczestników i świadków tych zapasów, do skreślenia swych pamiętników, ku pożytkowi potomnym, a chwale tych, którzy odeszli.

Stanisław Leon Dekański urodził się 18 listopada 1846 roku z ojca Adama i Marji z Zarzyckich, we wsi Rybnicy w parafji Tomaszowskiej. Rybnicę ojciec jego dzierżawił od 1831 roku, wraz z prawem pańszczyźnianem do okolicznych sześciu wsi, od hrabiego ordynata Zamoyskiego. Przedtem trzymał Łabuńki, odległe o 5 wiorst od Zamościa, w których jednak, podczas oblężenia przez rosjan twierdzy w 1831 roku, został zrujnowany doszczętnie przez wojska rosyjskie: ich obóz i szańce objęły łabunieckie pola, niszcząc „pełne plony“. Sam pan Adam Dekański, katowany i bity przez żołdaków, z resztką zrujnowanego mienia, uszedł ledwo z życiem wraz z żoną i małym dzieckiem. Po tej katastrofie osiadł w Rybnicy, biorąc się z zapalem do pracy. Lecz i tu los mu nie oszczędził biedy: po paru latach gospodarki ogień niszczy doszczętnie zbudowaną przezeń gorzelnię wraz z całym zapasem okowity. Ta nowa klęska zmusiła go do całkowitego zlikwidowania swego majątku dla zaspokojenia wierzyteli. Niebawem objął posadę urzędnika do szczególnych poruceń w zarządzie głównym ordynacji w Zwierzyncu. Tutaj po roku



umiera, zostawiając wdowę z sześciorgiem dzieci w oplakanych warunkach materialnych. Stanisław był najmłodszy i liczył wówczas 6 lat. Ciężka więc dola stała się udziałem jego dzieciństwa. Powoli siostry i bracia pozakładali własne ogniska rodzinne, matka zmarła i dziesięcioletniego Stanisława wzięła siostra Władysława Seklucka do wsi Osuch, na wychowanie. Gdy wyrósł na młodzieńca objął w biurach ordynackich w Zwierzyńcu posadę kancelisty, zrazu bezpłatną, widocznie „na praktykę“, z czasem jednak został przyjęty na etat stały z pensją roczną 200 złp., potem 600 złp. O stosunkach służbowych, panujących wówczas w zarządzie ordynackim, zachował jaknajgorsze wspomnienie. Jediną rozrywką dlań w sierocem życiu było czytanie bądź polowanie, czemu oddawał się całą duszą.

Miał lat 16, gdy wybuchło powstanie.

O samym wybuchu pisze Dekański w pamiętnikach mało i niejasno, o przygotowaniach poprzedzających je zgoła nic. Widocznie, jako jeszcze zamłodego, jak sam się wyraża „smarkacza“, nie dopuszczono go do tajemnic spiskowych, a może i pamięć zawodzi? Tem nie mniej od pamiętnej insurekcyjnej nocy styczniowej znajduje się w szeregach powstańczych. 23-go w południe kolega biurowy Edward Dziewiszek zaprosił go do siebie na wieczór. Gdy zabawiali się preferansem, około godziny 10<sup>1</sup>/<sub>2</sub>, w nocy, weszło do mieszkania 5 czy 6 uzbrojonych w strzelby myśliwskie, noże i czekany, młodzieńców. Z pośród nich wymienia tylko jedno nazwisko—Edwarda Plate. Wtedy właśnie dowiedział się o powstaniu.

Grupka ta, wyszedłszy z mieszkania Dziewiszka, połączyła się z większą, 10 do 12 ludzi, którzy czekali pod domem. Razem udano się do kaplicy na wyspie, gdzie xiądz Chmurski „pobłogosławił wszystkich, wzywając do walki z wrogiem na życie i śmierć“. Z kaplicy udano się dwójkami w stronę Bilgoraja, „aby napaść tamże znajdującą się pół rotę piechoty moskiewskiej“. Jednakże uszedłszy 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> kilometra zatrzymano się i po krótkim zastanowieniu, obliczywszy widocznie niewspółmierność

siły, z zwłaszcza z powodu lichego uzbrojenia, postanowiono napad odłożyć do następnej nocy. Ten bardzo powierzchowny opis nie daje nam żywego obrazu owej chwili. Oprócz kolegi Dziewiszka wymienia z nazwiska jeszcze Krowickiego, a to z racji jego wesołości i gry na harmonji, którą urozmaicił im pozostałą część nocy. Pozatem pisze: „ktoś nas poprowadził“, „przewódcy przyszli do przekonania“ i t. p., co potwierdza, że całem zająciem był zaskoczony i że nie orjentował się narazie w sytuacji.

Tem nie mniej dowiadujemy się, że próba zamachu umówionej nocy w Zwierzyńcu istniała, że zawiązał się tu oddział powstańczy, liczący około 20 kilku ludzi. Dowódcy nie wymienia: nie był nim późniejszy dowódca tej partji, leśniczy ordynacki — Gramowski, który w parę dni potem nadszedł ze swym oddziałem do Zwierzyńca.

24 stycznia wrócono do normalnych zajęć, jednakże koło południa pojawiły się w Zwierzyńcu dziarskie postacie uzbrojonej młodzieży, która dość licznie zaczęła ściągać z okolicy do oddziału. Była to przeważnie służba leśna ordynacka, gospodarska i rzemieślnicy. Zaczęto osadzać zupełnie jawnie „kosi na drzewca i piki, ostrzyć tasaki, używane do siekania kapusty“, któremi zastępowano szable. Pod wieczór w salach rysunkowych biur zwierzynieckich, gdzie gorączkowo przygotowywano naboje, zebrano się w sporym komplecie, dochodzącym 40 głów. Garść ta, uzbrojona w kosi i owe tasaki, w połowie tylko zaopatrzona w strzelby myśliwskie, przeważnie w bardzo złym stanie, spokojnie zakwaterowała tej nocy w obszernej jednopiętrowej oberży, pod bokiem dość mocnych załóg rosyjskich w Biłgoraju i Szczebrzeszynie, a zwłaszcza w twierdzy zamojskiej. Noc spędzono na patrolowaniu okolicy. Wielu ochotników, nie otrzymawszy uzbrojenia, wracało, skąd przyszli. Brakowi temu, a zwłaszcza w amunicji, usilnie zapobiegano przez cały dzień następny. Kule wyrabiano w wypożyczonej od jakiegoś leśniczego formie z materiału, którego obficie dostarczały miejscowe niewiasty. Ważnej pomocy udzielił powstańcom sześćdziesięcioletni starzec, kasjer zarządu

Kielbiński, litwin, który przechował w swej kasie jeszcze z czasów rewolucji listopadowej dwie duże flaszki prochu i kilkaset pistonów.

W nocy z 27 na 28 stycznia, podczas gdy Dekański, jako znający doskonale leśne ścieżyny, poprowadził patrol w kierunku folwarku Florjanki, nadciągnął z kilkunastoma ochotnikami wspomniany Gramowski, który objął nad partją dowództwo. Gramowski przybył z poważną zdobyczą: idąc do Zwierzyńca napadł w 9 ludzi na posterunek 18-stu kozaków w Józefowie, dwóch zabił resztę rozpedził, a jako trofea z tej szczęśliwej potyczki przywiódł osiem osiodłanych koni, parę szabel kozackich i kilka karabinów.

Posiłki te w porę zasilily oddział i dodały ducha powstańcom, bowiem na następną noc planowano atak na Szczebrzeszyn. Sformowano pospiesznie oddział jazdy z 12 koni pod dowództwem leśniczego Hilchena, znakomitego jaźdźca i niegdyś wojskowego pruskiego. Ze składu tego oddziałku pamiętnik wymienia jeszcze Seweryna i Marjana Krzyżanowskich. Cały dzień spędzano na mustrze i ćwiczeniach.

Nadszedł wieczór. O zmroku ruszyła partja w sile 62 ludzi z postoju i zaszła się w gęstwinie leśnej. Do Szczebrzeszyna, odległego o kilka kilometrów, wiódł wygodny i szeroki trakt, dziś szosa. Mały jednak oddziałek ruszył drogami leśnymi na wozach do wsi Brodów. Tutaj zatrzymano się przy domku strażnika lasowego, t. zw. szlakowego. Od tego miejsca biegła ku Szczebrzeszynowi dobrze utrzymana grobla. Tą groblą miała ruszyć piechota, obejść śpiące przedmieścia i popod klasztorem pańien miłosiernych, na prawo przez Rynek do koszar, mieszczących się w budynkach b. gimnazjum, zamkniętego jeszcze w 1852 roku<sup>1)</sup>. Ponieważ przypuszczano, że załoga, niespodzianie napadnięta z tej strony, rozpocznie odwrót w kierunku twierdzy Zamościa przez wieś Michałów, wysłano na ową ewentualną linię odwrotu całą jazdę, która miała urządzić zasadzkę. Pogoda sprzyjała przed-

<sup>1)</sup> Porównaj Pomarański: Proces polityczny w Szczebrzeszynie w 1852 roku i jego skutki. Zamość 1919.

siewięciu, gdyż ciemna noc i drobny deszcz ze śniegiem osłaniały wszelki ruch.

Rzeczywistość jednak poszła innemi torami, niż tego pragnęli powstańcy. Silna załoga, licząca koło 1000 bagnetów, koszar nie opuściła. Zaalarmowana strzałami, które oddział zamienił z patrolem rosyjskim, napotkanym przy kościele Panny Marji, przywitała nadchodzących rześistym ogniem. Nie sposób było podejść bliżej, a tymbardziej wykonać atak na budynki tak szczupłemi siłami. Na szczęście strat w ludziach i materiale nie poniesiono żadnych, przeciwnie na owym spotkanym patrolu zdobyto trzy karabiny i nieco ładunków. Ciężko rannego moskala dobił bagnetem jednoręki gajowy Buczyński, co nawet poczytywano mu za występki.

Partja wróciła do wozów w Brodach, a stąd zpowrotem do Zwierzyńca. Odpokutowali srodze natomiast mieszkańcy Szebrzeszyna, nad którymi rozwieczone żołdactwo pastwiło się przez dwa dni, bijąc i rabując; a organistę i kilku mieszczan, między nimi niejakiego Cichockiego, za to że zadzwonili na larum, zesłano na Sybir.

Następnego dnia, bojąc się odwetu ze strony załogi szebrzeszyńskiej, przeniesiono się do Florjanki, gdzie oddział dalej się uzupełniał i ćwiczył. Stąd też poprowadził go Gramowski na Tomaszów Ordynacki, który zajęto przejściowo w nocy z 30 na 31 stycznia lecz zaraz go przed przeważającemi siłami nieprzyjacielskiemi opuszczono. W potyczce tej Dekauski udziału nie brał, bowiem strudzony ustawicznemi nocnemi patrolami, które jako miejscowy musiał wciąż oprowadzać po okolicy, pozostał na leżach. Nie podaje więc dokładniejszych danych o tem zajściu. Wie wszakże, że oddział dostał się tam w zasadzkę, przywitany ogniem w ciasnej ulicy z obu stron stracił dwóch zabitych i kilkunastu rannych, wśród tych ostatnich padł ranny Gramowski. Gdy rannego dowódcę z pod gęstego ognia chcieli wynieść towarzysze broni, wyjął rewolwer i zagroził, że w łeb będzie strzelał każdemu, kto się doń zbliży, by narażać się dla niego. Nakazał

odwrot oddziału, a sam doczłgał się do domu jakiegoś żyda, który pod groźbą ukrył go w wozie z sianem, a następnie, gdy moskale pomimo widocznej przewagi, sytuacji nie wykorzystali i uszli ku Zamościowi, wywiózł go po za miasto. Nie uszedł jednak śmierci. O ukryciu Gramowskiego doniósł moskałom w chęci zysku parobek żyda, kilkunastoletni wyrostek. Kozacy, podprowadzeni przez zdrajcę, znaleźli rannego, leżącego samotnie w szopie pod Tomaszowem i bezbronnego w barbarzyński sposób zamordowali. Gramowski zostawił żonę i nowonarodzone dziecko. Śmierć jego towarzysze pomścili: zdrajcę pochwycono w parę miesięcy później i powieszono.

Po tym zdarzeniu partja przetrzebiona i pozbawiona dowódcy przez lasy wróciła do Florjanki, gdzie objął nad nią dowództwo, nadesłany przez władze powstańcze, niejaki Piasecki, zwany „de Valne“. Ten nie zwlekając raz jeszcze poprowadził oddział na Tomaszów, skąd moskale w międzyczasie ustąpili i zajął go bez walki.

Proklamował tam Rząd Narodowy, poniszczył godła państwowe rosyjskie i zajął się organizacją polskich władz administracyjnych. Zaniedbał natomiast służbę ubezpieczającą, powierzając ją niewyćwiczonym rekrutom z pośród miejscowych ochotników. Ci na posterunkach pozasypiali i znienacka nad ranem napadnięci przez patrole kozackie nie zdołali już uprzedzić Piaseckiego o grożącym niebezpieczeństwie. Według Dekkańskiego miało to miejsce 7 lutego.

Powstańców zaalarmowały dopiero 2 strzały armatnie, które moskale poprzedzili atak na miasto. Zaskoczeni znienacka na kwaterach nie zdołali już zorganizować planowej obrony czy odwrotu. Wybiegających z domów i zdezorientowanych wzięła na cel rosyjska piechota, która zajęła już wyloty ulic i podążała koncentrycznie do środka miasta, strzelając na prawo i lewo w okna i drzwi domów. Zamieszanie powiększył pożar, jaki wznieśli kozacy w kilku punktach miasta, aby rozjaśnić panujące jeszcze ciemności. Bezbronna ludność wybiegała z domostw, by ratować dobytek, padając gęsto pod strzałami napastników.



Powstańcy, nieopanowani żadnym rozkazem, wybiegali, a widząc co się dzieje, samotrzeć szukali ocalenia. W takim położeniu nie mogło być mowy o jakimkolwiek planowym oporze. Dowódca Piasecki nie ogarnął sytuacji, w zamieszaniu znikł, by nie pokazać się więcej. Zapewne uszedł ku granicy. Jedyne zbiorowe opór spotkali moskale ze strony oddziału jazdy. Zdołał go skupić wokół siebie Hilchen, który stanął w domu zajezdnym na rynku. Zbudzony w chwili, gdy kozacy dochodzili do rynku, w okamgnieniu się ubrał, żona, która wilgę dnia doń przybyła, podała mu pałasz i pistolety. Dosiadł konia i wyskoczył na rynek. Zbiegli się doń nasi w liczbie kilkunastu koni i przywitani wychodzących z ulic moskali ogniem. Widząc wszakże bezowocność oporu, dali koniom ostrogi i po za opłotkami wydostali się z miasta ku Galicji. Granicę przeszli pod Belczem.

Straty oddziału w tym krwawym dniu były bardzo duże. W zabitych, rannych i wziętych do niewoli wynosiły około 40 ludzi. Reszta niedobitków schroniła się w lasach, jak kto mógł.

Moskale, nie spotkawszy się z oporem, ośmieleni rzucili się na bezbronną ludność miasteczka, wyrzynając nieszczęśliwych pod pretekstem współdziałania z powstańcami. Tutaj rozgrywały się sceny wprost bestjałskie. Podpaliwszy np. z czterech rogów dom, wzywano mieszkańców do opuszczenia go, gdy zaś ci w popłochu wyskakiwali, strzelano w nich, jak w świce, tak że ci padali na progu swych mieszkań. Trupy i ranni żywcem paleni; wrzask nieludzki i przekleństwa napełniały szary zimowy poranek niebywałą grozą. Ogółem wymordowano w ten sposób 82 dusz między nimi padł lekarz Dąbrowski; nadzwyczaj szlachetny człowiek wraz z żoną młodziutką, zaledwie w półtora miesiąca po ślubie. Jakąś nieznaną kobietę, idącą z dzieckiem, przebito jednym pchnięciem i matkę i dziecko.

Tak hulał pólkownik Emanow, na czele 2 rot archangięlogorodzkiego pólku piechoty, 2 sotni kozaków i jednego dział. Rozbitkowie tymczasem powoli zaczęli ściągać na punkt zborny, wyznaczony w leśnej osadzie Kozaki koło Osuch, otoczonej wokół moczarami. Tam postanowili wypocząć nieco i czekać jakich

instrukcji, a zwłaszcza nowego wodza. Zebrało się ich około 140, coby wskazywało, że partja przed katastrofą liczyła około 200 głów. Przymierając głodem i marznąc na biwakach, gdyż osada, licząca trzy zamieszkałe chaty, pomieścić wszystkich nie mogła, czekali napróżno jakiejś inicyjatywy przez parę dni, wreszcie 13 lutego rozpuścili partję i rozeszli się do domów. Garść tylko wytrzymalszych, zabrawszy co pozostało żywności i amunicji i co najlepsze uzbrojenie w kilkanaście śmiałych głów ruszyła z obozowiska w głąb kraju, na poszukiwanie większych oddziałów.

Taki był koniec partji dzielnego Gramowskiego, która w czasie krótkiego swego istnienia stoczyła walki pod Józefowem, Szczebrzeszynem i Tomaszowem.

Sam Dekkański po rozwiązaniu partji, wyczerpany z sił przez parę dni pozostawał w Zwierzyńcu, skąd na odpoczynek zabrał go brat starszy do Nielisza. Tutaj na leśniczówce, wśród głębokiego lasu, dokąd rzadko zaglądała dusza ludzka a tembardziej patrol wojskowy, ukrywał się przez blisko 2 tygodnie, a powróciwszy do sił, znudzony bezczynnością udał się stąd piechotą do Michałowa, skąd podwodą wynajętą za rubla dostał się do Szczebrzeszyna. Tam spotkał się z kilkoma młodymi ludźmi, również ukrywającymi się przed władzami. Razem udali się do Zwierzyńca, dla zasiągnięcia języka.

Tutaj zastali ślady gospodarki moskiewskiej. W odwet za pobyt dłuższy powstańców, przypuszczając, że nadal tu się koncentrują urządzili napad nocny z Janowa, prowadzony przez półkownika Biedraga. Nie zastawszy powstańców podpalili dom organisty Skurczyńskiego i duży gmach murowany, mieszczący zarząd i biura ordynacji. Wtedy to pastwą płomieni padło i bogate archiwum ordynackie hrabiego Zamoyskiego. Pochwycawszy kilku bogu ducha winnych obywateli, powrócili do Janowa, gdzie ich w więzieniu trzymali przez 3 tygodnie.

Nic więc dziwnego, że ludność Zwierzyńca pod świeżym wrażeniem pogromu, podpadła głębokiemu przygnębieniu i przestraschowi. Nie znalazłszy przytuliska ani otuchy, a tem bardziej

jakichś konkretnych wiadomości, zaniechano narazie myśli udania się do partji, o istnieniu której głuche wieści krążyły tu i owdzie.

Dekański wrócił jakby nigdy nic nie zaszło do swego biura i czekał sposobnej chwili, by powrócić do szeregów powstańczych. Tymczasem nastąpiła wiosna, a z nią lepsza myśl i nadzieja. Ożywił się też ruch w lasach i zaczęły dochodzić wiadomości o dużej partji, operującej w okolicach Józefowa, pod dowództwem półkownika Lelewela.

Tu i owdzie spotykano oddziały jazdy powstańczej na rekonasansach. Coraz częściej zdarzały się wypadki z zagranicy i coraz śmielej i dalej zapuszczano zagony w lasach ordynackich. W czerwcu przejawił dużą energję oddział Czechowskiego, który wszakże po stoczeniu zwycięskiej bitwy koło Biszczy, cofnął się z powrotem za granicę. Dopiero w połowie sierpnia w lasach zaczął działać znów Lelewel.

Założywszy obozowisko pod Józefowem, który obrał za podstawę dla działań najbliższych, oczekiwał na amunicję i uzupełniał szczupłe kadry nowym, licznie napływającym ochotnikiem. Wyżywieniem ludzi i koni troszczyli się okoliczni obywatele i dzierżawcy, co znacznie zmniejszyło troski powstańców. Zdarzył się tu wypadek następujący: burmistrzem Józefowa był jakiś starzec chorowity, który nie mógł zajmować się z powodu podeszłego wieku swoim urzędem. Miał on natomiast sekretarza i doradcę młodego i inteligentnego żyda, który opanował całkowicie sprawami gminy. Odznaczał się zwłaszcza pięknym charakterem pisma, z czego słynął w okolicy. Obok urzędu dzierżawił mały folwark, z którego miał się niezgorzej. Otóż ten żyd okazał wiele życzliwości dla sprawy powstańczej i ujął szybko w swę ręce całą aprowizację partji. Wszelkie darowizny i ofiary w naturze składano na jego ręce i on dopiero dostawiał je do partji w lasy. Naturalnie miał dokładne dane o stanie, sile i rozlokowaniu oddziału.

Pewnego dnia Lelewel dał rozkaz oddziałowi jazdy, by żyda tego pod eskortą przywieziono niezwłocznie do oddziału. Kazał



zaprzągnąć wóz i baczyć, by żyd nie uszedł. Rozkaz wykonano, choć zdziwiono się jego nagłości i srogości zarządzeń. Gdy żyd dostawca stanął na miejscu, podszedł rażno do, przechadzającego się w towarzystwie kilku oficerów, Lelewela i, złożywwszy ukłon, rzekł z dobrym humorem: „Na rozkaz pana pułkownika przyjechałem; czem mogę służyć?“ Na to Leleweł z uśmiechem „Panie X. (Dekański nie przypomina sobie nazwiska), jesteś pan posadzony o szpiegostwo. Rosjanie znają nazwiska niektórych, w obozie znajdujących się, patriotów“. Żyd kategorycznie zaprzeczył, nazwał podejrzenie niecnem oszczerstwem. Na to Leleweł wezwał swego adjutanta Skłodowskiego i kazał przynieść list owego żyda, który wykradziono z biura komendy rosyjskiej. Dopiero wtedy, gdy zobaczył dowód niewątpliwy i poznał własnoręczne pismo, padł bez słowa zemdlony. Natychmiast przyniesiono sznury i dokonano egzekucji. Żyd prowokator zawisł na sośnie przydrożnej.

W parę dni potem, 1 września oddział w sile przeszło pół tysiąca głów, na skutek alarmujących wieści, przesunął się lasami i stanął obozem na skraju lasu naprzeciw wsi Tereźpol, na końcu której znajdował się folwark Poręby, a przy trakcie do Zwierzynca (dziś szosa) leśniczówka Panasówka. Tegoż dnia nadciągnął tu oddział, przeszło 400 głów liczący, w tem koło 40 jezdnych, pod dowództwem niejakiego Ćwieka. Oddział ten zajął Poręby, tworząc mocne i wysunięte naprzód prawe skrzydło Lelewela. W takiej pozycji, panującej nad całą okolicą wyższością położenia, postanowił oczekiwać powstańcy pułkownik wroga, którego zapowiadały wszystkie nasze wywiady.

Dopiero 3-go o godzinie 3-iej popołudniu nadciągnęli moskale od strony Janowa i Bilgoraja w sile około 4000 piechoty, szwadronu dragonów, 2 sotni kozaków i 3 dział. Rozciągnęli się oni w długą linię bojową wzdłuż Tereszpoła, kryjąc się za budowlami, jednocześnie rozpoczęli ogień działowy. Niebawem Poręby stanęły w płomieniach, zapalone granatem. Ćwiek rozpoczął odwrót na brzeg lasu, ciągnącego się równoległe o kilkaset kroków w tyle. Tam stały już nasze kompanje, niepostrzeżone jeszcze przez wroga.

Między wsią Tereszpołem a owym lasem, gdzie czaili się powstańcy, ciągnął się spory pas zagajnika, w którym przed kilkoma laty stała wspaniała pasieka, zniszczona przez pożar. Ponieważ zagajnik ten był wysunięty znacznie ku nieprzyjacielowi nie ulegało wątpliwości, że moskale wyzyskają go jako osłony przy podchodzeniu do lasu. Lelewel kazał jednej kompanji zająć i obsadzić tę wysuniętą placówkę, wykorzystując osłony zwłaszcza z licznych osmalonych słupów z uli i resztek parkanu oraz jam z wykrotów i gęste podszycie. Kompanja chyłkiem zajęła stanowiska w zagajniku, a podpuściwszy na bliską odległość nie spodziewających się tego moskali, otworzyła na zwartą ich masę morderezy ogień. Widząc zasadzkę wstrzymali atak i cofnęli się nieco, zostawiając liczne trupa i rannych. W chwilę potem otworzyli ogień działowy na zagajnik i całym bataljonem strzelców finlandzkich przypuścili atak powtórny. To zmusiło naszą kompanję do odwrotu, którego osłaniało kilku na ochotnika pozostawionych światków. Mówili, że zostaną, dopóki ładunku i życia im starczy, czego dotrzymali. Zaszyli się w jamę na wzgórk, flankując nieco zagajnik i stąd podtrzymywali ogień, celując na starszyznę. Moskale, zorjentowawszy się, skąd ich rażono, otworzyli na śmiałków mocny ogień. W nierównych tych zapasach powoli padali. Zostało trzech. Rozdzielili czynności w ten sposób, że jeden strzelał, dwaj nabijali pozostałą broń. Był to lwowiak, kapral z półku 30 piechoty austriackiej, który dezertował do powstania. Niestety nazwiska dzielnego żołnierza Dekauski nie pamięta. Strzelał powoli i z zimną krwią, a że był doskonałym strzelcem, ani razu nie chybił. Od niego też dostał celny strzał znajomy Dekauskiego, kapitan rosyjski, dowódca kompanji Dziekoński, polak. Dostał w trakcie, gdy obróciwszy się, leżąc bokiem ku swym żołnierzom wydawał rozkazy; kula przeszła mu oba policzki, nie naruszywszy szczęki. Uwolniło go, to od dalszej bratobójczej walki. Wyleczywszy się został zwolniony z wojska i pracował w biurze zarządu ordynacji w Zwierzyńcu. Strzelcy finlandzcy, zatrzymani w ataku, zorjentowawszy się z kim mają do czynienia, rzucili się ponownie

do szturmowania na zarośla i naszych śmiałków, z których ocalał tylko jeden — kapral wspomniany, który kilkakrotnie ciężko ranny został na miejscu i wzięty za poległego uniknął śmierci. Po ukończeniu bitwy i uzyskaniu przez naszych pola, został zabrany do szpitala w Zwierzyńcu, gdzie po paru tygodniach, wyleczywszy się z ran, wstąpił ponownie w szeregi powstańcze do oddziału VII-go konnych strzelców województwa lubelskiego, gdzie następnie służył Dekański. Był zawsze wzorowym żołnierzem.

Opanowawszy zagajnik, moskale przypuścili atak na skraj lasu, obsadzony przez Lelewela i broniony zajadłe. Po odtrąceniu rezerwy i straży przy furgonach w linii zostało około 700 ludzi, w tem prawie 200 jazdy i około 130 kosynierów. Ci ostatni, ubrani w długie buty, białe jak śnieg płótnianki i amarantowe rogatywki, z błyszczącymi kosami w dłoniach, wspaniały przedstawiali widok. Prócz tego wyróżniał się oddział 15 huzarów węgierskich, którzy z koźmi i w pełnym rynsztunku zbiegli z wojska austriackiego i przez współczucie dla naszej sprawy wstąpili w szeregi powstańcze.

Otóż gdy bitwa trwała już koło 2 godzin, ograniczając się do strzelaniny i na podsuwaniu się wzajemnem stron walczących, Lelewel, wybadawszy dokładnie stanowiska armat nieprzyjacielskich, postanowił powtórzyć Raclawice i działa zdobyć. W tym celu nakazał jeździe, którą dowodził węgier major hrabia Nyarg, rozpocząć oskrzydłający manewr. Pod osłoną tego manewru kosynierzy mieli przypuścić szturm.

Przeźren do armat była dość znaczna, a teren równy utrudniał podejście bliższe a niepostrzeżone pod ich stanowiska. Prócz tego w asekuracji dział stało około połowy bataljonu piechoty. Jazda nasza z brawurą ruszyła do wypełnienia swego zadania. Nie bacząc na gęsty ogień karabinowy, a następnie kartaczowy, wpadli między działa, czyniąc znaczne spustoszenie. Na nieszczęście w początku walki zginął dzielny major Nyarg i oddział, poniosłszy znaczne straty, musiał uchodzić. Pod osłoną tej pierwszej utarczki ruszyli i kosynierzy, lecz po wycofaniu się jazdy

odsłonięci, straciwszy kilkunastu, musieli również cofnąć się pod osłonę lasu. Z naszej jazdy padło w tej liczbie prócz dowódcy, majora Nyarga, 23 ułanów, przeważnie akademików. Pomimo tak dotkliwej straty nie stracili oni przysłowionej werwy i humoru. Gdy podali już tyły, na placu przy rannym koledze pozostał młody żołnierz Władysław Dorant, brat urzędnika ordynackiego. Nim się obejrzał, już kilku kozaków wypuściło ku niemu konie. Nie tracąc przytomności, dosiada konia i odgrażając się przycinkami ucieka przed napastnikami w bok, gdyż na przedzie rozgrywała się walka kosynierów. Wtem zostaje ranny w prawe ramię; zaniedbał przez to popędzania konia i pozwolił dognać się jednemu z napastników. Ten, pewny już swego, zaczyna wołać, by się poddał i, nie otrzymawszy odpowiedzi, długim batem rzemieennym usiłował oplątać go i ściągnąć z konia. Zamachnął się więc i z okrzykiem: „Na ciebie raz“, dosięgnął końcem pleców biedaka; próbuje ponownie z podobnym: „Na ciebie dwa“, godząc go w bok. Lecz tego było już dosyć. Korzystając z tego, że kozak, by dalej sięgnąć, pochylił się ku przodowi, odwrócił się nagle i z okrzykiem: „Na ciebie tri“, ciał natręta przez głowę, powalając go odrazu. Cały ten pojedynek odbywał się w oczach obu stron, i wytworzył nawet moment wyczekiwania, jaki będzie miał koniec. Gdy tylko kozak obalił się z konia, natychmiast moskale puścili za naszym Dorantem kilka salw, był on jednak już dość daleko. Z radością witali go swoi. Dzielny ten żołnierz, miał dużo temperamentu rycerskiego i wesoły bardzo, ożywiał oddział. Pochodził podobno ze szlachty francuskiej, która emigrowała do Polski w czasie rewolucji i pozyskawszy indygenat polski, pozostała w swej nowej Ojczyźnie. Dział jego słynął z sumiastego wąsa, którego wysławiał poeta Kajetan Koźmian w „Odzie do wásów“, a jeden z przodków francuskich był bohaterem jakiejś komedji Moljera. Prócz tego Władysława służył w partji brat jego — Ignacy, który potem odsiadywał karę na wygnaniu; a w okresie przygotowań powstańczych, w 1861 roku jeszcze, poniósł śmierć trzeci brat jego Adam, emisariusz organizacyjny. Aresztowany przez żandarmów na ulicy

w Warszawie, aby nie dopuścić do kompromitacji całej organizacji, pod pretekstem zabrania palta, dostał się do swego domu przy ulicy Smolnej. Ponieważ mieszkał na poddaszu, wyprzedził po schodach eskortujących go żołnierzy, ópadł swej izdebki i zamknąwszy się od wewnątrz, popalił wszystkie papiery, poczem, otworzywszy okno, z czwartego piętra wyskoczył na bruk, ponosząc śmierć na miejscu.

Bitwa trwała jeszcze do godziny 8 i 1/2. O zmroku zaczęli moskale odwrót, mszcząc się za niepowodzenie na kilku naszych rannych w nieludzki sposób. Jednego z nich, jakiegoś studenta medycyny z Krakowa, pielęgnował Dekkański potem w Zwierzyńcu. Był on cięty szablą przez tył głowy tak mocno, że mózg mu wyszedł, prócz tego miał 36 ran od kul i bagnatów; prawie trupowi już wyjęto oczy i porąbano ręce, a jeden drab wsadził mu szablę w usta i przeciął policzki do uszu. Nieszczęsny ten młodzieniec męczył się jeszcze 4 dni. Pochowano go w Zwierzyńcu. Moskale, zebrawszy rannych i zabitych, cofnęli się do Janowa, chowając po drodze w lesie swe trupy. Leleweł utrzymał pole, lecz wobec zmęczenia ludzi i braku sił dostatecznych, zaniechał pościgu. Nakazał tylko zabrać rannych i poległych, których odwożono podwodami do Zwierzyńca. Tutaj lżej rannych złożono w ubikacjach znanej nam już oberży, skąd następnie po wypoczynku i zaopatrzeniu wysyłano ich pocztami obywatelskimi do Galicji.

Szpitałem tym zarządzała pani Sierkowska, wdowa, dzierżawczyni ordynackiego folwarku w Kosobudach. Odznaczała się ona dużą znajomością rzeczy i wielkiem poświęceniem. W ciężkiej tej pracy pomagały jej panny zwierzynieckie, przeważnie córki urzędników zarządu ordynacji, które z niemniejszym poświęceniem doglądały chorych, zmieniając się dyżurami. Był tam między ciężko rannymi pewien kowal, typ prawdziwego człowieka pracy, krępy i muskularny mężczyzna, lat około czterdziestu. Biedak ten otrzymał postrzał w brzuch: kula przeszła żołądek i utkwiała w kości pacierzowej. Na tę ranę, wobec stanu ówczesnej chirurgji, nie było ratunku i nieszczęśliwy wiedział o tem, że czeka go śmierć niechybna. Tym nie mniej nie upadał na duchu do ostatka, znaj-

dując pokrzepienie w modlitwie, której gorąco się oddawał, dziękował Bogu, że ginie od kuli wrogiej za Ojczyznę, jak na żołnierza przystało i otaczających wzywał do wytrwania w walce i nie tracenia nadziei w ostateczne zwycięstwo. Zmarł w strasznych męczarniach po ośmiu dniach. Dekkański, który łącznie z kilkoma towarzyszami, został przydzielony do owego szpitala, notuje kilka wypadków podobnego stoicyzmu powstańców.

Tymczasem oddziały Lelewela i Ćwieka, które zatrzymały się w Zwierzyni na kilka godzin odpoczynku i dla ponownego uformowania się po bitwie, obawiając się osaczenia, ruszyły dalej, podzieliwszy się na dwie kolumny. Jedna część pod wodzą Lelewela, wprost przez Żórawnicę i Szczebrzeszyn podążyła w okolicę Kraśnika, druga z Ćwiekiem poszła drogą dalszą na Topólcę i Kawęczyn.

Nie zdoławszy się połączyć, część Lelewela natknęła się 6-go września pod Batożem na przeważające, około 13.000 wynoszące, siły i, otoczona zewsząd, stoczyła nierówną walkę na śmierć i życie. Sam Leleweł przy przebijaniu się przez pierścień wroga poległ wraz z częścią swego sztabu, z oddziału całego za dowódcą głowę złożyło 84-ech, około 140 wzięto w niewolę i pognano do Lublina, a stąd na Sybir.

Reszta, która zdołała się przedrzeć, rozproszyła się po lasach, szukając w ich głębiach schroniska.

Ćwiek, który nie zdążył na czas krytyczny, oceniwszy groźną sytuację, wycofał się z okolicy i poszedł w głąb kraju, zbierając rozbitki Lelewela. Rannych z tej bitwy z całą ofiarnością lokowali mieszkańcy Kraśnika i stopniowo odstawiali ku granicy galicyjskiej. W ten sposób został zlikwidowany najczynnieszy ośrodek powstańczy w tych stronach. Wszystko, co znajdziemy potem, to już tylko rozpaczliwa szarpanina, pozbawiona wszelkich szans nawet chwilowego powodzenia.

W związku z bitwą pod Panasówką przytacza Dekkański następujące zdarzenie. Zaraz następnego dnia po bitwie rozeszła się wiadomość, że padł w niej syn pewnego obywatela, właściciela

trzech folwarków w okolicy. Pełnił on służbę przy sztabie Lelewela, a pieczy jego była powierzona kasa półkowa, zawierająca około 50,000 rb. Otóż po bitwie przepadł on, jak kamień w wodę, wraz z kasą. Przypuszczano, że dostał się do niewoli lub zginął. Opinia publiczna, współczując rozpaczy stroskanego ojca, szła mu we wszystkim na rękę: przeszukano okoliczne lasy, czy czasami nieszczęsny młodzieniec nie leży gdzie ranny lub zabity, wszystko nadarmnie. Tymczasem ojciec pojechał za oddziałem, tam przepłytywał oficerów i żołnierzy, czy o zaginionym czego nie wiedzą, lecz bez rezultatu, tymbardziej, że wraz z przegraną bitwą pod Batożem stracił kontakt z powstańcami. Zaczęto już przypuszczać, że niezawodnie zginął i nierozpoznany pochowany został wraz z innymi poległymi w jednej wspólnej mogile pod Zwierzyniec. Przekonał ojciec, uzyskawszy pozwolenie władz, zarządził otwarcie grobów i exhumację zwłok. Zjechała ze Szczepieszyna komisja sądowa, 2 lekarzy i wielu urzędników. Otwarto dwa groby: największy, w którym spoczywało około 40 powstańców i drugi mniejszy, lecz z powodu zbyt dużego rozkładu ciał musiano zaniechać roboty. Groby zasypano i cała akcja nie rozwiązała zagadki.

Dopiero w kilkanaście lat potem dowiedział się Dekkański, iż cała historia zaginięcia owego młodzieńca była nieciekawie zmyślona przez ojca. Za namową ojca wstąpił synalek do partji, gdzie rozmyślnie postarał się o to, by mu powierzono prowianturę i opiekę nad kasą. W czasie bitwy pod Panasówką, korzystając z zamętu dał koniowi ostrogi i umknął z życiem i.. kasą. Poszukiwania, zarządzane przez ojca, upozorowały rzeczywistość, a wraz z upadkiem powstania zapomniano o wszystkim i gdy po pewnym czasie niespodzianie zaginiony się znalazł, oczywiście z kasą, nie podnoszono już kwestji. Ojciec stosunkami i pieniędzmi wyjednał przebaczenie władz rosyjskich, długi się pospłacało, pan z panów nadal panem pozostał i sytuacja została uratowana. Dekkański nie chce podawać ku hańbie wiecznej nazwisk szubrawców, a to ze względu na kilku innych członków tej rodziny, noszących to

samo nazwisko, którzy całkiem inaczej przysłużyli się sprawie i wiele ofiar następnie dla niej ponieśli.

Mniej więcej w dwa tygodnie po śmierci Lelewela, pełniąc nocą służbę w szpitalu powstańczym w Zwierzyńcu, Dekauski dostał rozkaz stawienia się do nowoformującego się oddziału w Chmielku. Dokładnych danych miał udzielić dzierżawca folwarku Powolny rozkazowi stawił się niezwłocznie w oznaczonym miejscu, gdzie zastał już kilkunastu młodzieńców. Czekano kilka dni w Chmielku, gdzie wreszcie przybył dowódca, wyznaczony przez Rząd Narodowy, rotmistrz Lisowski i porucznik Karjolyi, węgier. Tegoż dnia, dosiadłszy częściowo koni, jakie tylko stały w folwarku, częścią zaś na brykach, udano się w nieznane ostępy leśne w odległości półtorej mili od Chmielka. Tu czekało już kilkunastu roślących chłopów, na ziemi zaś leżały w dość duże, ilości derki i siodła, a z jamy obok wykopanej wyjęto szable, pistolety i lekkie karabinki kawaleryjskie oraz dwie duże skrzynie, z których wyjęto jednakowe baranie czapki i korzuszki.

Natychmiast ujednostajniono umundurowanie, rozdano broń i wyznaczono konie. W ten sposób powstał składny oddział, choć nieliczny, bo zaledwie 20 koni liczący. Oddział ten w bitwy oczywiście się nie wdawał i unikał większych garnizonów. Natomiast był biczem Bożym dla posterunków po wsiach i miasteczkach, dla licznych szpiegów, których sfory rozrzuciono po okolicy. Oddziałek rzutki bardzo, dzięki swej małości, pozorował obecność większych sił powstańczych i zaprzeczał rozsiewanym przez Moskale wieściom o całkowitem rozbiciu powstania.

Tak więc na ustawicznych marszach po całym tym kącie województwa lubelskiego upływał czas szybko. Szpiegów, przeważnie żydów, wieszano na gałęziach przydrożnych. Lecz i zaprzalców nie brakło. Jeden z nich, niejaki Maruszak, mieszczanin z Krasnobrodu, dał się szczególnie we znaki organizacji. Był on oddawna skazany przez Rząd Narodowy na powieszenie, lecz dzięki niezwyklej ostrożności, nie można go było pochwycić. Raz, stojąc w lasach pod Krasnobrodem, otrzymał Dekauski rozkaz



udania się z 10 ludźmi, do miasteczka, otoczenia zagrody zdrajcy i dostawienia go do partji. Wyruszono po północy i wraz ze świtem dojechano do pierwszych zagród Krasnobrodu. W jednej chwili otoczono domostwo Maruszaka, lecz draba już nie znaleziono, choć mieszkańcy okoliczni go widzieli przed chwilą. Tak i tym razem uszedł śmierci, lecz w dodatku użył fortelu, którego nie powstydzilby się pierwszorzędny spryciarz. Z Krasnobrodu udano się do dworu, odległego o dwie mile i tutaj zakwaterowano na nocleg. Okazało się, że pani domu była chora po dziecku, więc aby żołnierze nie plądrowali i nie niepokoiili chorej, porucznik Karjolyi kazał Dekzańskiemu wystawić przed drzwiami jej pokoju posterunek. Rano ruszył oddział dalej. W parę tygodni potem dowiedziano się, że za drzwiami, tak pilnie strzeżonemi, ukrywał się sam Maruszak. Uciekł tu właśnie przed powstańcami, dopadł do właściciela i zagroził, że jeżeli włos mu z głowy spadnie, moskale spalą cały dwór i jego powieszą. Wystraszony panek zmyślił więc słabość żony i w ten sposób ocalił szpiega. Działo się to w końcu listopada.

W tym czasie miał wkroczyć z Galicji nowy oddział pod dowództwem Szlaskiego. Nasi partyzanci dostali rozkaz dostawienia im broni, która lada dzień miała nadejść z za kordonu do nadgranicznego Różańca. Istotnie znaleziono we wskazanem miejscu na polanie pod Różańcem kilka wozów ze skrzyniami, pełnemi karabinów, naboji, mundurów, korzuchów i t. p. Tabor ten dozorowały dwie niemłode już niewiasty. Odebrawszy transporty, uzbrojono woźniców, oraz przybyłych kilkunastu wyrostków i w ten sposób stworzono piechotę, którą wsadzono na wozy obok pak i ruszono na poszukiwania partji Szlaskiego. W marszu już dano znać Lisowskiemu, że moskale, dowiedziawszy się o koncentracji powstańczej, wysłali z Zamościa większy oddział jazdy, z rozkazem spatalowania okolic Różańca.

Wydzielił więc z oddziału, wynoszącego teraz 52 konie i 15 pieszych, patrol konny w sile 20 szabel, powierzył go Kajolyemu i wysłał w stronę nadchodzącego przeciwnika z rozkazem zmylenia

tropu. Sam zaś z wozami i resztą ruszył dalej na wyznaczone miejsce zbiórki.

Dekański został przydzielony do patrolu Karjolyego. Opisuje dość pobieżnie forsowne marsze, polegające na ustawicznym „kluczeniu“, by jaknajbardziej zmylić i zdezorjentować przeciwnika. O walce nie było mowy, moskali bowiem okazało się 2 szwadrony. Tak więc na tej ciężkiej służbie, o chłodzie, głodzie i nadludzkim trudzie; upłynęło parę dni. Moskale istotnie kilka razy rozpoczynali gonitwę za straceńcami, lecz ci szczęśliwie uchodzili.

W ten sposób upływały powoli dni jesienne. Raz pod Janowem, to pod Szebrzeszynom, to pod Kawęczynom pojawiali się niestrudzeni żołnierze Karjolyego. Kilka razy w bród przechodzono Wieprz, by zmylić pogoń. Wreszcie w jakiejś gęstwinie nad Wieprzem zapadli na dłuższy odpoczynek — bo na całą dobę. Stąd Karjolyi skomunikował się z partją. Na zlecenie Lisowskiego, po paru jeszcze dniach włączęgi, dołączono wreszcie do oddziału pod Józefowem, gdzie Szlaski zwyczajem poprzedników postanowił uczynić podstawę dla działań zaczepnych. Tymczasem, prócz wroga zwykłego, obecnie pojawił się nowy: zimno późnej jesieni, wreszcie pierwsze śniegi i mróz. Las na schronisko nie wystarczał. Lecz twarde dusze mieli ci żołnierze. Chłód i trudy znoszono z nadludzkim iście stoicyzmem, nie wyrzekając nawet, jakby to był właśnie zwykły los ludzki. Jednak siły wyczerpywać się zaczęły wreszcie. Codziennie pozostawiano chorych za sobą pod opieką ludności i tak ubywało rąk z szeregu. O potykaniu się z wrogiem w otwartym polu nie było mowy, wszędzie bowiem natrafiano na siły, znacznie przeważające oddział. Jedynym celem stało się hasło „przetwać“ — do nowej wiosny i nowej otwartej walki.

Przyszła kolej i na Dekańskiego. Choroba i jego zmogła, jak tyłu przed nim. Któregoś dnia grudniowego osunął się bez sił z konia. Towarzysze nieprzytomnego pozostawili w Niemirówku u ekonoma. Pod jego troskliwą opieką po ciężkim śnie w gorączce, trwającym 3 doby bez przerwy, odzyskał przytomność. Był dzień

20 grudnia, Podczas Świąt Bożego Narodzenia, dowiedział się o nim obywatel Paszkiewicz z Suchowoli, kóry zażądał przewiezienia go do siebie.

Na ostrzeżenie Dekkańskiego o odpowiedzialności, grożącej za przechowywanie powstańców, odrzekł, śmiejąc się, że w razie nieszczęścia, pójdą obaj na Sybir. Był to człowiek dużej wiedzy i ofiarności. Jak się potem okazało był on mężem zaufania Rządu Narodowego i powstańczym naczelnikiem powiatu. U tego zacnego obywatela Dekkański przyszedł do siebie. Spędził tu całą zimę, ucząc małego synka jego — Bohdana. Nabrawszy sił, chciał oczywiście wrócić do obozu. Szlaki jednak, nie czując się widocznie na siłach sprostać przewadze wroga i trudnościom okoliczności zewnętrznych, połączył się z większą partją konną gen. Wróblewskiego. Partja ta uległa rozbiciu przez moskali w trakcie przechodzenia granicy. Ruch zbrojny zamierał coraz bardziej i nie tylko w lubelskiem, lecz w całej Polsce.

Dekkański, nie mogąc wrócić do nieistniejącej już partji, a nie chcąc jednocześnie być ciężarem szlachetnego swego opiekuna, wyjechał do Czumna, majątku hr. Ronikiera pod Tyszowcami. Miał tam krewniaka Lisowskiego leśniczym. Za jego staraniem dostał posadę pisarza gminnego w Czerninie, a następnie w Tyszowcach z płacą 6 rubli miesięcznie. Tak kończy się powstańczy żywot Dekkańskiego, lecz nie skończył się zły los.

W parę miesięcy denuncjowany przez kogoś, zdaje się ze względów konkurencyjnych na urząd, został aresztowany i odstawiony do Komarowa. Po 5 dniach, na starania ludzi dobrej woli, został wypuszczony przez kapitana Jakowlewa, dowódcę ekspedycji wojskowej w okolicy. Udał się do Ostrówka za Grabowcem, gdzie również miał krewnych — Szyszkowskich, właścicieli małej fabryczki maszyn rolniczych. Tutaj dostał posadę gajowego, na której upłynął cały rok 64-ty. Powstanie poszło w zapomnienie, okolica się uspokoiła i tylko nieliczni przechowywali ze czcią relikwie wspomnień.

W następnym roku Dekkański powrócił do Zwierzyńca, gdzie

dostał posadę w biurze likwidacyjnym ordynacji. Był podówczas w Zwierzyńcu wojskowy okrąg, na czele którego stał porucznik Siwaj, moskal, ale człowiek ludzki. Sekretarzował mu niejaki Nowicki, były urzędnik pocztowy z Janowa, który zbliżył się do Dekkańskiego. Za jego radą rzucił posadę ordynacką i objął stanowisko pisarza gminnego w Sułowie. Lecz niebawem naczelnicy wojskowi się zmienili. Poczciwego Siwaja zastąpił kurlandczyk, major Goster, hulaka i karciarz. Jednak i ów stary wyga polubił Dekkańskiego, to też ten formalnie trząśł gminą, składającą się z 13 wsi, 7 folwarków, 5 propinacyj i kilku posesyj. Niedługo Gostera odwołano, a na jego miejsce przyszedł Iwanow, człowiek okrutny i zły. Ze szczególną zawziętością ścigał znikome pozostałości powstańcze, urządzając ostre śledztwa. Ostrzeżono w czas Dekkańskiego, który pośpiesznie wycofał się ze środowiska urzędniczego, by wrócić ponownie do Zwierzyńca. Lecz po paru tygodniach, czując dookoła szpiegów, wreszcie ostrzeżony przez kolegę, postanowił opuścić Królestwo, w nadziei, że na szerokim świecie znajdzie więcej swobody dla swego temperamentu młodzieńczego. Sprzedawszy wszystko, co posiadał wartościowszego, i uciuławszy kilkaset rubli, w drugiej połowie lipca 1867 roku, pożegnał strony rodzinne. Przez granicę przeprowadził go stary gajowy Król z Florjanki, sprzymierzony z powstaniem, on też błogosławił młodzieńca na dalsze życie — tułaczkę. Granicę szczęśliwie przeszedł pod wsią Oseredkiem.

Zaczyna się w ten sposób nowy okres życia, niezwiązany już z naszym tematem, choć nie mniej ciekawy. Dekkański rozpoczął tułacze życie emigranta. Przybył do Lwowa, gdzie po wielkich staraniach dostał posadę w warsztatach kolejowych. Pracował w nich 2 i pół lat. Nauczył się rzemiosła i od towarzyszy pracy — Niemców — ich języka. Stąd los zaniósł go do Rumunii, następnie Szwajcarii, znów do Rumunii, gdzie nadal pracował w warsztatach kolejowych. Doczekał się tu wojny rosyjsko-tureckiej w 1877 r., po której ta część Rumunii przypadła Rosji (Besarabia). Wrócił więc po pewnym czasie do Galicji, gdzie po usil-

nych staraniach dostał stałą i spokojną posadę w urzędzie telegraficznym w Stryju. Po złożeniu żądanych egzaminów, mianowany urzędnikiem X rangi, mógł wreszcie na tej płacy poprzestać i rozpocząć spokojniejsze, pozbawione ustawicznej troski, życie. W 1887 r. ożenił się, zawiązał rodzinę i doczekał się pociechy z dwóch synów. Stopniowo awansowany dosłużył się wreszcie w 1914 r. „srebrnego kołnierza i jednej rozety“, jak pisze z humorem, jako urzędnik VII rangi, t. zw. nadrewident.

Z czasem przeniesiony do Przemyśla, po tylu przejściach i zgryzotach dostał emeryturę. Przeszedł oblężenia Przemyśla i doczekał się proklamowania niepodległej Polski, o którą pół wieku temu wiódł „szalone boje“.

Należy do tych nielicznych, którym los, w nagrodę ofiarnej służby sprawie ojczyznej, pozwolił dzisiejszemu pokoleniu, szczególniemu ponad wszelki wyraz, przekazać gorące ukochanie, poległych w tamtych ciężkich czasach, bojowników, ich niezmożoną nadzieję i wiarę w nieśmiertelność Polski.



84954

Księgozbiór BP



10080901

Zamość ul. Pereca 14  
Biblioteka Publiczna